Mój 11 września

Każdy ma "swój 11 września", opowiem Wam swój. Pracowałam wtedy w dopiero co przeniesionej spod Zurichu do Krakowa redakcji opracowującej programy telewizyjne dla różnych pism i gazet w Europie, głównie niemieckojęzycznej ale nie tylko. Ze setkę tych programów mieliśmy, drogą elektroniczną spływały do nas z różnych stacji telewizyjnych, niemieckich, szwajcarskich, austriackich, francuskich, włoskich, holenderskich, angielskich... a my, tzn. świeżo uformowana w Polsce redakcja, ujednolicaliśmy je tak, żeby można je było potem wlać w szpalty stron z dziennymi czy tygodniowymi programami telewizyjnymi wydawnictw, które od nas ten gotowy już produkt kupowały.

Pierwotna redakcja istniała już od wielu lat w zuryskim Domu Prasy Ringier wydającym między innymi największy w Szwajcarii magazyn telewizyjno-filmowy. Tam od wielu lat przez około sześć miesięcy w roku pracowałam jako redaktor resztę czasu poświęcając na podróże lub pobyty w Krakowie, moim rodzinnym mieście. Najpierw się redakcja skomputeryzowała, potem elektroniczna poczta umożliwiła rozszerzenie oferty poprzez stworzenie programów jako gotowego produktu - dotychczas poszczególne pisma i gazety dzienne opracowywały sobie programy same, teraz mogły kupić je od naszej redakcji jako gotowce, co oczywiście wychodziło znacznie ekonomicznej. Jeszcze trochę później redakcja się powiększyła i usamodzielniła i przeniosła z zuryskiego Domu Prasy do własnych biur pod Zurichem, a jeszcze potem się okazało, że opracowywanie programów telewizyjnych może być o wiele bardziej opłacalne, jeśli będzie się odbywać w kraju, gdzie wszystko jest znacznie tańsze, i utrzymanie biur, i pensje pracowników, jednym słowem doznaliśmy efektu globalizacji.

Zrządzeniem najprzeróżniejszych zbiegów okoliczności redakcję kupił Polak, od dawna redaktor w wydawnictwie Ringiera, prywatnie zaś dobry kolega. I przeniósł mi ją - jak za sprawą zaczarowanej różdżki - niemalże pod moje krakowskie mieszkanie, przypadek chciał, że nowa redakcja mieściła się na drugim końca ulicy, przy której miałam swoje mieszkanko. Tak to zostałam na czas trwającej jeszcze pół roku mojej szwajcarskiej umowy o pracę polską szefową redakcji w Krakowie. Młodzi polscy redaktorzy rekrutowali się naturalną koleją rzeczy spośród absolwentów germanistyki i innych kierunków filologicznych. Razem z zespołem informatyków było nas jakieś 30 osób.

Ale najpierw cała ta gromada przyjechała do Zurichu. Na okrągły miesiąc. Żeby uczyć się wszystkiego zanim redakcja zostanie fizycznie przeniesiona do Krakowa. A ucząc się opracowywać na bieżąco programy: równocześnie je nieprzerwanie dostarczaliśmy naszym klientom, bo - tak jak telewizje nie ustały w pracy - tak i gazety musiały drukować programy telewizyjne bez względu na jakiekolwiek wewnętrzne zmiany.

Logistycznie rzecz biorąc było to duże przedsięwzięcie, a do tego dochodził jeszcze czynnik ludzki, czyli nie zawsze łatwe zgrywanie się nowego zespołu redakcyjnego. Dla utrudnienia na obcym gruncie - prawie wszyscy byli w Szwajcarii po raz pierwszy w życiu. Było to w lipcu 2001 roku. Żeby sprostać zadaniu pracowaliśmy bez wytchnienia, nasi informatycy bardzo często nocami.

Ale najtrudniejsze było dopiero przed nami: przeniesienie redakcji z Zurichu do Krakowa, czyli przewiezienie wszystkich serwerów i komputerów (które stały się własnością nowej redakcji) i natychmiastowe zainstalowanie ich w nowej redakcji, tak, żeby - jak to już miało miejsce przy wymianie ludzi - dostarczanie gotowego produktu pokładającym w nas zaufanie odbiorcom odbyło sie poślizgiem. Musieliśmy tego dokonać w jeden weekend. Kilku z nas poleciało samolotami z najważniejszymi częściami składowymi, reszta jechała autobusem wioząc resztę. W pierwszy poniedziałek sierpnia 2001 roku cała redakcja jak jeden mąż siedziała na swoich nowych miejscach pracy i pracowała aż się kurzyło. Było ostro, ale udało się. Roznosiła nas radość! Mieliśmy powód do autentycznej satysfakcji.

Na początku września 2001 roku, po dwóch nadzwyczaj intensywnych i dla każdego z nas bez wątpienia niezwykłych miesiącach, byliśmy już na tyle obyci z materią i na tyle zgrani ze sobą, że mogliśmy wreszcie nieco

wyluzować, powoli pracować w ludzkim tempie i nawet wieczorami wypuścić się prywatnie w miasto, żeby sprawdzić, czy aby Sukiennice nadal stoją na swoim miejscu. Stały. Świat kręcił się wokół nas spokojnie, jednostajnie, statecznie, ludzie powracali z wakacji, dzieci poszły do szkół, nadchodziła złota polska jesień, faktycznie złota, bo było i słonecznie, i ciepło. Balkony naszej redakcji mieszczącej się na drugim pietrze starej krakowskiej kamienicy wychodziły teraz nie na podzuryską ultranowoczesną szklano-metalową dzielnicę biurowców, ale na z dnia na dzień zmieniający ubarwienie z zielono-letniego na złoto-rudo-jesienny Park Krakowski.

We wtorek 11 września - pewnie jak wielu z nas pamiętam ten dzień jak dziś - pracując zastanawialiśmy się jaką dać ostatecznie nazwę naszej nowej, hulającej już jak talala redakcji, właściciel proponował TV-Media-Center, ale mnie słowo "center" nie bardzo się podobało, bo kojarzyło mi się z centrami handlowymi... Sprawa nazwy nie była jednak aż tak pilna, więc nie podejmowaliśmy póki co żadnej ostatecznej decyzji. W sumie dzień mijał pracowicie i ani się obejrzeliśmy, a już zrobiło się popołudnie. Słowo "center" miało jednak tego dnia jeszcze wrócić, choć w zupełnie innym kontekście.

Tu muszę dokładniej wyjaśnić na czym polegała nasza praca. Otóż oprócz opracowywania programów, dokumentacji, seriali, filmów, transmisji itd. itp. jakie telewizje miały w planie emitować i o których dostawaliśmy informacje z jedno-, dwutygodniowym wyprzedzeniem, musieliśmy nieustannie nanosić poprawki z ostatniej chwili, bo programy z różnych przyczyn mogły ulegać zmianom. Czasami nieznacznym a czasami dość istotnym. Na przykład gdy odwoływano z powodu niepogody jakieś zawody sportowe. Mogło się też zdarzyć, że umarł ktoś ważny i wtedy wylatywał jakiś program, czy film, a na jego miejsce wskakiwał tematycznie związany z daną osobą. Lub wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Wtedy trzeba było wyszukać odpowiednie miejsce w opracowanym już programie, wymienić audycję czy film i zaznaczyć, że zrobiło się taką operację. Przypominam, że dotyczyło to około setki stacji telewizyjnych w różnych językach. Nieustannie spływały więc do nas różnego rodzaju zmiany w programach, uzupełnienia, poprawki. A nierzadko i zmiany zmian. I redakcja wprowadzała poprawki wysyłając informacje w ślad za opracowanymi już do druku programami. Szydełkowa robota.

Wszystko to oczywiście elektronicznie. Przez cały czas zespół informatyków kontrolował pracę serwerów, koordynował pracę komputerów, ulepszał programy komputerowe, coś się psuło, coś naprawiał... W pokoju informatyków niejeden raz atmosfera była bliska wrzenia. Tym razem jednak nie działo się nic specjalnego. Informatycy dłubali coś każdy przy swoim komputerze, z ich pokoju dochodził cichutki szmer radia. Nagle jeden z nich stanął w drzwiach - zapamiętałam sobie czas: 15.15 - i powiedział: "Jakaś katastrofa lotnicza w Nowym Jorku...". I zniknął. Za chwilę znowu stanął w drzwiach i powiedział "Jakiś drugi samolot... nic z tego nie rozumiem..." I podgłośnił radio. I słuchając za sobą podawał dalej do naszych dwóch pokojów... "Nie, to nie w Nowym Jorku, mówią, że w Waszyngtonie..." Po chwili z niedowierzaniem: "W Nowym Jorku i w Waszyngtonie!? Samoloty spadają z nieba! To jakiś zamach!" - "Jaki zamach?!"

Na słowo "zamach" staliśmy wszyscy w momencie w drzwiach informatyków. Dla nas oznaczało to bowiem tylko jedno, poważne zmiany we wszystkich programach. Jak poważne zmiany będą i że nie będzie nawet mowy o nadążaniu, tego oczywiście nie mogliśmy jeszcze wiedzieć.

Godzina 16... 17... dzień pracy się kończył, a u nas urywały się telefony, spływały zewsząd maile, telewizje zawiadamiały, że coś się bardzo złego dzieje, nikt nie wiedział co konkretnie... Ameryka została zaatakowana? Samolotami? Próbowaliśmy to jakoś ogarnąć, ale, podobnie jak na całym świecie, zaczął się nieprawdopodobny chaos informacyjny, który również do nas spływał niekontrolowanymi strumieniami. "Atak? Wojna?" Media informowały, że w wieżach WTC może być nawet 40 tysięcy ludzi... (dopiero potem się okazało, że - na szczęście - o tak wczesnej porze dużo ludzi nie było jeszcze w pracy, liczba ofiar, choć ogromna, raczej się redukowała).

W końcu pod wieczór, przerażeni i skołowani, opuściliśmy redakcję. W domach każdy przed swoim telewizorem jak zahipnotyzowany oglądał obrazy, które od paru godzin obiegały świat. Pokazywano z jednej strony apokaliptyczne sceny z Ameryki, z drugiej wiwatujących ludzi z ulic miast w krajach muzułmańskich. Świat

rozłamał się na dwie części. Przez następne i następne, i następne dni telewizje będą wielokrotnie wywracały do góry nogami swoje programy. Będziemy zostawać po godzinach. Coraz sprawniej będziemy nanosić zmiany dowiadując się coraz bardziej dramatycznych szczegółów. W wielojęzycznych opisach coraz to nowych dokumentacji będziemy odmieniać przez wszystkie przypadki słowa: terror, terroryzm, terrorysta, atak, strach, zamach, samobójca-zamachowiec, nienawiść, wściekłość, wojna…

I odtąd już nic nie będzie tak jak przedtem, nasze radośnie pracowite lato 2001 przepadło w innej, odległej, nierzeczywistej epoce sprzed 11 września…